

KURIER NR 304
8 kwietnia 2009
Związkowy

Porozumienie zamiast strajku

W KW będą podwyżki płac!

Podwyżka płac o 300 zł dla każdego górnika i wyrównanie deputatu węglowego z 6 do 8 ton – to efekt porozumienia podpisanego pomiędzy związkami zawodowymi a władzami Kompanii Węglowej. Udało się wywalczyć dla pracowników to, na co wiele tygodni nie zgadzał się ani właściciel, ani pracodawca. I to bez konieczności organizowania strajku właściwego.

PATRYK KOSELA

Pracujący w największej spółce węglowej w Europie, Kompanii Węglowej SA, dostaną jednorazowe wyrównanie za pierwszy kwartał tego roku. I tak, pracujący na dole dostaną po 900 zł, w przeróbce po 700 zł, a pracujący na powierzchni 550 zł. Z kolei od kwietnia br. mają wzrosnąć dopłaty do przepracowanych dniówek: dla górników dołowych mają one wynieść 10 zł, dla przeróbki 8 zł, a dla pozostałych pracowników 7 zł. Wszyscy pracownicy 16 kopalń spółki będą mieć jednakową wysokość deputatu węglowego i wyniesie on 8 ton. Średnia płaca górnika wzrośnie zatem w roku bieżącym o 300 złotych.



JAROSŁAW AUGUSTYNIAK

Podwyżki to efekt kilkumiesięcznej walki zapoczątkowanej przez Wolny Związek Zawodowy „Sierpień 80”, który jako pierwszy wysunął postulaty płacowe i wszedł w spór zbiorowy z Kompanią Węglową. Walce tej towarzyszyła okupacja siedziby spółki oraz kilka pikiet, w tym ostatnia z 26 marca zorganizowana

przed Ministerstwem Gospodarki, które to z racji, że jest właścicielem KW, obwiniano za blokowanie zgody na przyznanie podwyżek górnikom. W ostatnich tygodniach WZZ „Sierpień 80” wraz z pozostałymi 12 organizacjami związkowymi działającymi w spółce wspólnie zorganizował 2-godzinny strajk

ostrzegawczy w ramach Komitetu Protestacyjno-Strajkowego, a także uczestniczył w rozmowach płacowych. Te z dnia 2 kwietnia były rozmowami ostatniej szansy przed wyznaczonym na dzień 7 kwietnia całodobowym strajkiem.

Mało kto spodziewał się, że rozmowy te przyniosą oczekiwane rezultaty

i zakończą się podpisaniem porozumienia, a tym samym odsuną wizję strajku. Tak się jednak stało. Rozmowy trwały długo – od południa do prawie że północy. Uczestniczyli w nich wiceprezesi Kompanii, Jacek Korski i Piotr Rykała. Później dołączył do nich prezes Mirosław Kugiel, który na tę okazję urwał się specjalnie z urlopu. Te rozmowy były inne od poprzednich. Zarząd przedstawił nowe, daleko lepsze propozycje płacowe, zastrzegając jednak, że przyznanie podwyżek uzależnia od kondycji finansowej firmy. Na to zgodzić się nie mogła strona związkowa argumentując, że nie ma ona wpływu na kreatywność sprzedaży węgla, podkreślając ponadto na podstawie doświadczenia, że rachunki księgowe można w różny sposób interpretować i prezentować.

Dyskutowano zatem już nie nad ogółem, jak przedtem – a nad szczegółem, dotyczącym tego, w jaki sposób uzależnić podwyżki od wyników firmy, aby zaakceptowały to obie strony. Zgodnie z porozumieniem, co miesiąc zarząd wspólnie ze związkami będzie analizował sytuację finansową spółki. Specjalny zespół, złożony z trzech przedstawicieli zarządu KW i trzech związkowców, na bieżąco będzie ją monitorował. W połowie roku strony mają wrócić do rozmów na temat wzrostu podstawowych stawek wynagrodzenia. Zawarte porozumienie

ciąg dalszy na str. 2

Cd. opowieści o wyniszczaniu Państwowego Ratownictwa Medycznego

Zniszczyć tych, co ratują

Tydzień temu pisaliśmy o demonstracji ratowników medycznych z Wolnego Związku Zawodowego „Sierpień 80”, Krajowego Związku Zawodowego Pracowników Ratownictwa Medycznego i Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Służb Ratowniczych przed Ministerstwem Zdrowia 26 marca. Pracownicy mają wiele pretensji i żalu do minister zdrowia Ewy Kopacz. Padają też mocne zarzuty i gorzkie słowa.

Zatrudnieni w Państwowym Ratownictwie Medycznym (PRM) wyraźnie

wskazują problemy z kontraktacją usług ratownictwa medycznego na 2009 rok i podają przykład za przykładem miast, w których prywatne firmy wygrały przetargi w niejasnych okolicznościach. Nazywają to wprost „dziką prywatyzacją” placówek ochrony zdrowia. I mówią, że jest to tak zwany „plan B” Platformy Obywatelskiej dotyczący prywatyzacji placówek leczniczych, gdzie najpierw kawałek po kawałku wyprzedaje się najbardziej dochodowe ich części, by następnie oficjalnie już pełną w prywatne ręce to, co pozostanie.

Podczas wystąpień związkowców w Warszawie żądano wprowadzenia zakazu świadczenia usług Państwowego Ratownictwa Medycznego przez firmy prywatne, a także sformułowania czytelnych zasad kontraktowania usług ratownictwa medycznego. – Przyjechalibyśmy tu po to, żeby pokazać pani minister, że ratownictwo medyczne ma być państwowe, jak policja, straż, czy wymiar sprawiedliwości. Są pewne dziedziny gospodarki, których się nie prywatyzuje. Zostaliśmy oszukani, sprzedani, a to, w jaki sposób pani mi-

nister nas potraktowała, pokazuje, że nie zależy jej na prawdziwym ratownictwie medycznym – stwierdził wówczas szef KZZPRM Robert Szulc.

Oberwała się szefowej resortu zdrowia. Tej samej, która dzień wcześniej urządziła pokazową konferencję prasową z udziałem całkowicie usłużnego jej „związkowca”. Stwierdziła wtedy, że pieniądze na ratownictwo są i zawsze się znajdują, bo temat leży jej głęboko na sercu. Widocznie nie tak głęboko, skoro następnego dnia nie wyszła do protestujących pod jej okna-

mi ratowników medycznych, a dwa dni później nie zjawiała się po raz kolejny na II Ogólnopolskim Zjeździe Ratowników Medycznych, który odbył się w Rudzie Śląskiej. Widocznie upajała się tymi słowami: – Po raz kolejny brakuje słów, by oddać cześć temu, co się dzieje w resorcie zdrowia, a dotyczy ratownictwa medycznego – wypowiedzianymi przez przewodniczącego Krajowej Sekcji Pogotowia Ratunkowego i Ratownictwa Medycznego NSZZ „Solidarność”, Jacka Szarka. Ale czy warto cieszyć się słowami na własne zamówienie? To niepoważne.

Ale jest w tym wszystkim jedna pozytywna rzecz. To, że „Solidarność” ratownictwa medycznego pełni funkcję lokaja minister Kopacz doprowadziło do

ciąg dalszy na str. 4

Komornicy zacierają ręce

Największa w Europie huta szkła ginie, a to nie koniec złych wieści z Krosna. Krośnieńskie Huty Szkła stanęły nad przepaścią. Stało się tak, pomimo iż firma ma sporo zamówień, a nawet przejęła rynek po jednej z upadłych czeskich hut szkła. Firma straciła m.in. 40 mln zł na opcjach walutowych. Zarząd złożył wniosek o ogłoszenie upadłości spółki. Złe wieści docierają też z innych krosnieńskich zakładów. Wypowiedzenia przygotowują praktycznie wszystkie duże przedsiębiorstwa w mieście. Dla mieszkańców Krosna i okolic to prawdziwa katastrofa. Tymczasem ręce już zacierają komornicy, którzy na drugie półrocze przewidują potężny wzrost liczby egzekucji. Te mają dotknąć nie tylko podmioty gospodarcze, ale również szereg gospodarstw domowych. Dziś trudno uwierzyć, że jeszcze pół roku temu, Krosno – obok Rzeszowa – należało do grona najdynamiczniej rozwijających się miast w kraju...

W krosnieńskiej hucie prezesi zmieniają się niczym rękawiczki. 20 marca tutejszy sąd miał rozpatrzyć wniosek o ogłoszenie upadłości Krośnieńskich Hut Szkła z możliwością zawarcia ugody z wierzycielami. Wyroku jednak nie ogłoszono i usłyszymy go najpewniej w ciągu najbliższych dni. Nieoficjalnie mówi się, że zadłużenie spółki oscyluje wokół 200 do 300 mln złotych. Jasielski oddział Karpackiej Spółki Gazowni-

czej już zagroził zakreśleniem kurka, jeśli huta do końca marca nie spłaci 26-milionowego długu. Tymczasem banki „dbają”, by na koncie huty nie pozostał nawet „złamany grosz” i ściągają dosłownie każdą złotówkę, jaka na nie wpłynie.

Dotąd pracę w Krośnieńskich Hutach Szkła – największym tego typu przedsiębiorstwie w Europie – straciło już prawie dwa tysiące osób, a w tzw. „optymistycznej wersji” kolejnych 800 ma zostać zwolnionych. Jeśli jednak doszłoby do upadłości likwidacyjnej, pracę straci kolejne 2 tysiące.

Dwustu pracowników w trakcie wypowiedzenia złożyło pozwy sądowe, domagając się wypłaty zaległych odpraw i wynagrodzeń. Odpraw im nie wypłacono, a póki nie minie okres wypowiedzenia, na zasiłki dla bezrobotnych nie mają co liczyć.

Krosnieński poseł PiS, Piotr Babinetz złożył w sądzie wniosek o czasowe zabezpieczenie majątku huty przed egzekucją komorniczą. Obrońcy huty uważają, że rząd powinien wspomóc przedsiębiorstwo, by utrzymać chociaż część miejsc pracy, wzorując się na działaniach władz Niemiec, Francji czy Belgii. Niestety, wszystko wskazuje na to, że rząd i w tym przypadku nie zamierza odstąpić od liberalnego doktrynerstwa. Potwierdzają to słowa posłanki Elżbiety Łukacjewskiej –



szeffowej PO na Podkarpaciu – która w odpowiedzi stwierdziła po prostu, że rząd nie może dotować prywatnych spółek. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, iż zarządowi huty udało się jednak zdobyć pieniądze na wypłaty dla pracowników. Niestety, jest to jedyna

dobra wiadomość. Bank PKO SA odmówił bowiem odblokowania kont Krośnieńskich Hut Szkła. Bankierzy enigmatycznie wspomnieli, że mają dla huty inną propozycję. Ma nią być przejęcie przez bank części akcji Krośnieńskich Hut Szkła.

Jeszcze rok temu w KHS pracowało 4 150 osób. Bankructwo KHS automatycznie oznaczać będzie również likwidację Huty Szkła Gospodarczego w Tarnowie, która od kilku lat jest częścią krosnieńskiej spółki. To jednak jeszcze nie koniec złych wieści z miasta nad Wisłokiem. Jeszcze na przełomie grudnia i stycznia kilkaset osób straciło pracę w krosnieńskiej fabryce amortyzatorów Delphi, a 150 w wytwórni włókien szklanych Krosnaglass. Teraz rozpoczęły się zwolnienia w hucie szkła Deco-Glass, WSK PZL Krosno (urządzenia chłodnicze) i Moking (wytwórnia modeli latających). Zwolnienia zapowiedziała spółka Nowy Styl (światowy potentat w produkcji krzesel), gdzie pracę ma stracić 700 osób. Dla miasta to prawdziwa katastrofa. Tymczasem przedstawiciele Rzeszowskiej Izby Komorniczej przewidują, że w drugim półroczu nastąpi gwałtowny wzrost egzekucji komorniczych. Te dotknąć mają nie tylko przedsiębiorstwa, ale również ich zwolnionych pracowników, którym braknie środków na spłatę pożyczek, kredytów czy na opłaty za mieszkanie. – W drugim półroczu na licytacjach będzie można nabyć m.in. domy i mieszkania – wprost mówił przed kamerami rzeszowskiej telewizji jeden z komorników...

WMP

W KW będą podwyżki płac!

ciąg dalszy ze str. 1

jednocześnie anulowało organizację wyznaczonego na 7 kwietnia strajku.

Długa droga

Podpisanie porozumienia, choć było wynikiem rozmów prowadzonych w ciągu jednego dnia, to jednak tak naprawdę żmudna wielotygodniowa praca związkowców. Strajk był już przesądzony, a reprezentanci pracowników nie spodziewali się przełomu w rozmowach 2 kwietnia. Mówili nawet, że jak znów nie będzie żadnych konkretów, to po kwadransie opuszczą budynek, bo szkoda czasu i lepiej zająć się przygotowaniem do strajku.

– Myślę, że zarząd Kompanii Węglowej czuje, że ma za sobą pełne poparcie rządu, który nakazał, by żadnych podwyżek nie dawać. Jednak prezes Mirosław Kugiel zapomniał, że rząd stosuje metodę zderzaków. Zderzak zużyty wymienia się na nowy – mówił jeszcze przed rozpoczęciem rozmów szef „Sierpnia 80”, Bogusław Ziętek. Miał ku temu podstawy. Przedstawiciele spółki szli na konfrontację ze związkami grożąc, że za strajk zapłacą pracownicy, bo będą zwolnienia.

Z kolei socjolog Uniwersytetu Śląskiego prof. Marek Szczepański stwierdził, że nawet w sytuacji kryzysowej, w od-

niesieniu do największej firmy węglowej w Europie, nie dostrzega uzasadnienia dla tak pasywnego zachowania właściciela.

Zima w JSW i KHW

O tyle, o ile w KW się udało, to nadal nie ma porozumienia dotyczącego podwyżek w innych polskich spółkach węglowych – w Katowickim Holdingu Węglowym i Jastrzębskiej Spółce Węglowej.

W KHW sytuacja jest najgorsza. Tam o podwyżki walczy tylko i wyłącznie WZZ „Sierpień 80”, a inne związki zawodowe nawet nie ukrywają, iż to, że górnicy nie dostaną podwyżek mają głęboko gdzieś... – Zwycięstwo w Kompanii dodaje nam wiatru w żagle i determinuje nas do jeszcze większej walki. Mamy poparcie załogi, bo ludzie chcą zarabiać więcej w momencie, gdy koszty życia galopują z ostro w górę – mówi Janusz Anioł z holdingowej kopalni „Mysłowice-Wesoła”.

Nieco lepiej jest w JSW. Tam może powstać wspólny Komitet Strajkowy. Pracują nad tym związki wszystkich kopalń. Już poprzednio przytaczaliśmy wypowiedź szefa NSZZ „Solidarność” górnictwa węgla kamiennego, Dominika Kolorza dla Rzeczypospolitej, w której takiego obrotu sprawy nie wykluczył. Ostatnio o strajku w Jastrzębskiej także

na łamach tego dziennika mówił Wacław Czerkawski, wiceprzewodniczący Związku Zawodowego Górników. Na razie trwają rozmowy w tym kierunku, a stanowiska związków idą w dobrą stronę i mają się ku zbliżeniu.

Rozmowy trwały też 30 marca pomiędzy WZZ „Sierpień 80” a władzami JSW. Związek ten w ramach sporu zbiorowego domaga się 10-procentowych podwyżek płac i wyrównania deputatu węglowego wszystkim do 8 ton. Spotkanie zakończyło się niestety fiaskiem.

Prezesowska korekta

Na pocieszenie mamy dobrą wiadomość: minister gospodarki cofnął podwyżki płac prezesów spółek węglowych o 6,9 proc. Wynagrodzenia te zostaną zmniejszone do ubiegłorocznego poziomu. Zamrożenie płac członków zarządów spółek Skarbu Państwa w górnictwie oznacza po 50 tys. zł oszczędności do końca br. w każdej z nich.

Wcześniej w rozmowie z portalem wnp.pl poseł PO Mirosław Sekuła skrytykował prezesowskie podwyżki mówiąc: – Przyznam, że byłem zszokowany stanowiskiem szefów spółek węglowych, którzy uważali, że im się podwyżka należy, a górnikom nie. To było dla mnie zaskakujące. Wówczas prezesi spółek węglowych – mówiąc

o swych podwyżkach – powoływali się na ustawę kominową. Ale przecież ona nie stanowi, że podwyżka musi wynieść tyle, a tyle, tylko wskazuje, jaki jest jej górny pułap.

Dominik Kolorz, szef górniczej „Solidarności”:

Strona związkowa wykazała się dużą odpowiedzialnością podpisując porozumienie. Odpowiedzialność za wywiązanie się z warunków porozumienia leży po stronie zarządu Kompanii Węglowej. Mam nadzieję, że zarząd Kompanii nie będzie chciał nas wykiwać. Liczę, że obie strony będą postępować uczciwie, tak by to porozumienie zrealizować. Strona społeczna chce mieć wgląd do pełnej dokumentacji spółki. Liczę, że po pół roku będziemy mogli usiąść do stołu i ustalić podniesienie stawki osobistego zaszeregowania.

Podpisaliśmy porozumienie, które jest realne do wykonania i satysfakcjonuje obie strony. To porozumienie świadczy też o dużej odpowiedzialności związkowców za los pracowników i firmy. Gdyby jednak ktoś teraz próbował „ograć” górników, strajkujemy natychmiast, bez uprzedzenia. Sztab protestacyjno-strajkowy się nie rozwiązał. W połowie roku wracamy do rozmów na temat wzrostu stawek osobistego zaszeregowania. Punktem

wyjścia do negocjacji jest wzrost o 6 proc.

Bogusław Ziętek, przewodniczący „Sierpnia 80”:

Jesteśmy zadowoleni, bo górnicy otrzymają należne im podwyżki. I to w kwotach, jakich sobie życzyliśmy. Niech nikt nie liczy na to, że porozumienie nie będzie realizowane. Gdyby tak było, to zaraz będziemy mieli strajk w kopalniach Kompanii. Nie damy się wyrolować.

Teraz wynegocjowaliśmy tyle, ile było możliwe bez zorganizowania strajku w górnictwie. W gruncie rzeczy na wyższe kwoty zarząd Kompanii Węglowej zgodził się stosunkowo szybko. W ostatniej chwili podbiliśmy jednorazową dopłatę dla górników dołowych z 700 do 900 zł. Nie godziliśmy się natomiast na uzależnienie podwyżek od wykonywania planów techniczno-ekonomicznych, na które nie mamy wpływu. Nie od nas zależy to, że spada sprzedaż węgla.

Jerzy Markowski, były wiceminister gospodarki:

Zadziałała wyobraźnia i świadomość tego, że kraj sobie poradzi bez polskiego węgla. Mógłby się bowiem zaktywizować import. Dobrze, że w Polskę nie pójdzie opinia o upartych górnikach, dążących do konfrontacji. Bardzo dobrze, że obu stronom udało się zawrzeć porozumienie.

dla portalu wnp.pl

Walczyć o swoje za granicą

Z Agatą Żuraw z Europejskiego Stowarzyszenia Pracowników Migracyjnych rozmawia Jarosław Augustyniak

Skąd się wziął pomysł na założenie Waszego stowarzyszenia?

To był pomysł niemieckich związków zawodowych. Wychodząc z założenia, że sami w jednoczącej się Europie niewiele są w stanie zaradzić problemom związanym z tymi zjawiskami, ideę tę zaprezentowali na forum europejskim. Sam pomysł narodził się w 2004 r. i został zrealizowany rok później.

Zapewne Niemcy byli problemem migracji zarobkowej bardziej zainteresowani, bo wtedy był to jeszcze główny kierunek wyjazdów za pracę Polaków.

Wraz z otwarciem granic Niemcy musieli się skonfrontować z odpowiedzialnością na pytanie – Co teraz z naszym rynkiem pracy? Jak wiadomo niemiecki rynek pracy nie został dla nas w pełni, wraz z wejściem Polski do Unii Europejskiej, otwarty. Jednak wybiegając w przyszłość wiadomo było, że na tym rynku pracy sytuacja ta nie potrwa długo. Przyjdą Polacy, którzy mogą zabrać Niemcom pracę. By zapobiec socjalnemu dumpingowi należało zrobić coś, by przyjeżdżający do pracy pracownicy z Polski nie byli gorzej traktowani niż Niemcy.

A czy z likwidacją dumpingu nie jest trochę tak, że jeśli niemiecki pracodawca miałby zatrudnić Polaka na takich samych warunkach jak Niemca, to będzie wolał tego drugiego? Może chodzi o to, że niemieccy związkowcy mówią sobie – żądamy dla Polaków takich samych warunków pracy i płacy, to wtedy nasi pracodawcy nie będą mieli interesu by ich zatrudnić?

I tak, i nie. W Niemczech w budownictwie, a to główna branża, w której działa nasze stowarzyszenie, obowiązują wynegocjowane przez układy zbiorowe minimalne stawki. Jednak podobnie jak u nas i nawet w dużo większym stopniu, Niemcy nie chcą pracować za płacę minimalną. Poza tym, póki co niemiecki rynek jest nadal dosyć zamknięty. Zdobycie koncesji, zawarcie kontraktu z polskimi firmami, wymaga przebrnięcia przez biurokrację. Dlatego też związki mają pewien nadzór i wiedzę na temat tego, ilu migrantów pracuje na terenie Niemiec. Już po pierwszych latach okazało się, że liczba kontraktów, na jakie pozwalały niemiecko-polskie porozumienia, nie została w pełni wykorzystana przez polskie firmy budowlane.



uczciwych stawek, czyli przynajmniej na poziomie płacy minimalnej. Zobowiązywało ich do tego prawo europejskie. Jednak szybko firmy te doszły do wniosku, że nie „warto” tyle płacić swoim pracownikom. Wpadły na pomysł, że lepiej zatrudnić sobie Polaków, lecz nie na podstawie umowy o pracę, lecz jako podwykonawców, czyli samozatrudnionych pracowników. To był bardzo powszechny proceder i już w 2005 r. statystyki niemieckie wykazały ogromny – 20-procentowy – wzrost rejestracji polskich „firm budowlanych”, a faktycznie samozatrudnionych osób, prowadzących działalność na terenie Niemiec. Podobnie postępowali i niemieccy pracodawcy. Zgłaszali się do nas ludzie, po kilkanaście osób, którzy jako „firmy budowlane” pracowali dla jednego niemieckiego pracodawcy, czy też polskiego pośrednika. Osoby te były samozatrudnione, ale faktycznie wykonywały pracę, której charakter mieścił się w pojęciu stosunku pracy w myśl niemieckich przepisów.

Jaką korzyść mają niemieccy pracodawcy, czy też polscy pośrednicy w zatrudnianiu Polaków właśnie w charakterze samozatrudnionych?

W tym wypadku takim pracownikom można było płacić znacznie poniżej ustawowo zagwarantowanej płacy minimalnej w branży budowlanej, ponieważ takich pracowników nie chroni niemieckie ustawodawstwo pracy.

W jaki sposób można tę patologię zlikwidować?

To bardzo trudne. Jako stowarzyszenie występujemy przed niemieckimi sądami, w których musimy udowodnić, że charakter pracy, jaką wykonują samozatrudnione osoby stanowi o pozorności tego samozatrudnienia.

Czyli staracie się udowodnić, że w danym przypadku istnieje faktyczny stosunek pracy, a samozatrudnienie jest tylko przykrywką do wyzysku?

Dokładnie tak. Czasem tym, którego skarżymy jest polski pośrednik, a czasem jest to niemiecki pracodawca. W prawie niemieckim główny wykonawca robót odpowiada za całość spraw związanych z zatrudnieniem i to nawet po pół roku od zakończenia robót czy ustania stosunku pracy. Częstym problemem jest jednak to, że poszkodowani

pracownicy decydują się na zaskarżenie pracodawcy dopiero po dłuższym niż te pół roku okresie.

Z czego to wynika?

Przed wszystkim z nieznajomości języka i niemieckiego prawa. Zdarza się, że samozatrudnione osoby nie mają nawet świadomości co do swego samozatrudnienia. Dopiero po dłuższym czasie dowiadują się, że nie są pracownikami, lecz przedsiębiorcami. Nie dość, że zostali oszukani, bo zamiast za miesiąc pracy otrzymać 1 500 euro, dostali 500, to jeszcze po roku ściga ich urząd skarbowy, bo nie zapłacili od swej działalności podatku. Ludzie często nie wiedzą, że niemiecki rynek pracy jest nadal zamknięty dla polskich pracowników. Faktycznie pracę w Niemczech można podjąć wyłącznie poprzez polskiego pośrednika, który na mocy koncesji i kontraktu zawartego z niemiecką firmą, może go tam do pracy oddelegować. Dlatego bardzo, ale to bardzo często przychodzą do nas pracownicy, którzy skarżą niemieckiego pracodawcę, bo nie wiedzieli, że nie byli jego pracownikami. Coś tam podpisywali, ale było to po niemiecku. Nie bardzo wiedzieli, co to faktycznie było, a byli przekonani, że to umowa o pracę.

Ale w Waszym kręgu zainteresowania są przede wszystkim oddelegowani do pracy pracownicy, a w sprawach samozatrudnionych chodzi co najwyżej o udowodnienie, że w danym przypadku istniał stosunek pracy?

Tak, my nie jesteśmy przeciwko samozatrudnieniu jako takiemu. Jak ktoś chce świadomie otwierać działalność gospodarczą na terenie Unii Europejskiej, to my nie mamy nic przeciwko temu. To nie nasza dziedzina. My opiekujemy się wyłącznie pracownikami.

Czy kryzys gospodarczy, z jakim mamy do czynienia, zwiększył już liczbę zgłaszających się do Was o pomoc pracowników?

Tak. Od stycznia zaczął się, na razie może jeszcze nieznaczny, ale wzrost spraw, którymi się zajmujemy w imieniu polskich pracowników. Wynika to z tego, że coraz częściej zdarza się, że mające kłopoty firmy nie płacą swoim pracownikom, czy też płacą im tylko część wynagrodzenia i twierdzą, że jak się sytuacja na rynku poprawi, zapłacą więcej. I najczęściej już tego nie robią. To taki pierwszy, widoczny już z naszej perspektywy, objaw kryzysu.

Czym się teraz konkretnie zajmujecie?

Właśnie wydaliśmy ulotkę w języku polskim dla Polaków pracujących w Grecji. Są w niej podstawowe informacje na temat greckiego prawa pracy i zamiary na organizację, które mogą im udzielić pomocy. W tej chwili jest to rządowa agencja, która nie pomaga jednak bezpośrednio, lecz udziela jedynie informacji. Chcemy do współpracy namówić greckie związki zawodowe, m.in. poprzez WZZ „Sierpień 80”, który tymi sprawami się interesuje. Problem w tym, że w Grecji jest bardzo

niskie uzwiązkowienie, a do niedawna tamtejsze związki nie widziały potrzeby interesowania się obcokrajowcami, bo same mają wiele problemów na swoim rynku pracy. Są tam setki małych wysp, na których nie ma żadnych związków i przez to jakakolwiek pomoc Polakom jest jeszcze bardziej utrudniona. Poza tym nie mamy swojego biura w Grecji. Żywimy jednak dużą nadzieję, że greccy związkowcy zrozumieją problem dumpingu i postawią na szerszą współpracę międzynarodową, co przecież będzie też z korzyścią dla greckich pracowników.

Przez ostatnie lata głównym kierunkiem wyjazdów za pracę Polaków była Anglia i Irlandia. Prowadzicie tam jakieś sprawy?

Nie, bo wynika to z charakteru tej emigracji. Ma ona w zdecydowanej większości charakter wyjazdów na stałe. My zajmujemy się pracownikami migracyjnymi, którzy wyjeżdżają za granicę, delegowani najczęściej przez swych polskich pracodawców tylko na jakiś określony czas. Tych, którzy wyjeżdżają na stałe, kontaktujemy z miejscowymi związkami zawodowymi i zachęcamy do wstępowania w ich szeregi i tam szukania pomocy.

Czy zajmujecie się też problemem pracowników, którzy przyjeżdżają do pracy do Polski? Przecież tu też możemy, choć na innym poziomie, ale mieć do czynienia z socjalnym dumpingiem?

Tym problemem się nie zajmujemy. Kiedy zaczynaliśmy działalność, myśleliśmy, że w dalszej perspektywie tym problemem też powinniśmy się zająć. Ale po pierwsze imigracja zarobkowa do Polski, póki co, nadal jest tylko śladem, a po drugie, by poważnie tym się zająć jest potrzebna szeroka współpraca z polskimi związkami zawodowymi, a one na razie nie wykazują zbyt dużego zainteresowania tym problemem.

Największą grupą imigrantów są w tej chwili Wietnamczycy. Do ich środowisk trudno jednak dotrzeć. To bardzo zamknięte diaspory. Winę za to ponosi polskie państwo, które nie ma praktycznie żadnego programu integracji imigrantów i nie potrafi brać przykładów z takich państw, jak np. Francja, Niemcy czy Anglia, w których istnieją od dawna duże diaspory imigrantów i prowadzona wobec nich jest aktywna polityka. Teraz jest czas, póki imigracja w Polsce ma jeszcze niewielkie rozmiary, na taką politykę, która może zapobiec tworzeniu się swoistych gett imigranckich i konfliktom z rodzimą ludnością.

Co jest największym problemem stowarzyszenia w jego działalności?

Oczywiście pieniądze. Teoretycznie każde stowarzyszenie powinno utrzymywać się ze składek swych członków. U nas jest jednak ten problem, że rzadko bywa, że do stowarzyszenia wstępuje ktoś zanim wyjedzie za granicę. Najczęściej przychodzi do nas dopiero wtedy, gdy zostanie już oszukany przez pracodawcę. Bardzo często też po zała-

twieniu sprawy ze stowarzyszenia się wypisuje. A koszty naszej działalności są niemałe. To obsługa przede wszystkim prawną. Prowadzenie spraw przed sądami w różnych krajach Unii, telefonny, tłumaczenia dokumentów itd.

Czy często sprawy, które prowadzicie, znajdują swój finał w sądzie?

W 70 proc. załatwiamy to polubownie z pracodawcami. Tylko jedna trzecia trafia do sądu. Ostatnio mieliśmy sprawę 20 osób, w których imieniu występowaliśmy wobec polskiego pracodawcy. I tym razem też udało się wszystko załatwić pozytywnie. Nie mogę podać nazwy firmy, bo zachowanie tajemnicy było jednym z warunków polubownego rozstrzygnięcia sporu.

Pomagacie tylko swoim członkom?

Nie, ale każdego namawiamy do wstąpienia do stowarzyszenia. Pomagamy też wszystkim tym, którzy należą np. do jakiś polskich związków zawodowych w zakresie, w jakim pomóc takim osobom nie są w stanie ich związki.

Wspomniała Pani na początku, że choć inicjatywa była niemiecka, to jednak podjęta została również na forum międzynarodowym. W dobie kryzysu Wasze działania wymagają pewnie jakiegoś poszerzenia i intensyfikacji. Czy są podejmowane jakieś działania przez niemieckie związki ale już na szerszym, europejskim gruncie?

Tak, wiele związków europejskich widzi problem braku informacji i to w rodzimym języku dla wyjeżdżających do pracy za granicę Polaków. Dlatego związki branży budowlanej, rolnictwa i drzewnictwa, widząc konieczność intensyfikacji działań w tym względzie, zamierzają w czerwcu zorganizować w Polsce szeroką akcję informacyjną: spotkać się z polskimi związkowcami, samymi zainteresowanymi, którzy migrują po Europie, a także z przedstawicielami Ministerstwa Pracy oraz polskiej prasy. Powstaje strona internetowa, na której będzie można zasięgnąć wszelkich informacji o przepisach prawa pracy w poszczególnych krajach, stawkach minimalnych itd. Strona będzie w języku polskim i ma zawierać porady dla pracowników i kontakty z działającymi w poszczególnych krajach związkami zawodowymi. Także namiary na osoby, z którymi można się po polsku skontaktować i uzyskać pomoc. Przed uruchomieniem tej strony, związki chcą tę sprawę najpierw nagłośnić w Polsce. Strona będzie też miała wersję rumuńską, francuską, flamandzką i angielską. Nie będzie skierowana tylko do pracowników z Polski czy Rumunii, ale także do pracowników z tzw. starej Unii, np. Belgów wyjeżdżających do pracy w Anglii. Będą to informacje branżowe. Istnieje europejska sieć informacji migracyjnej EURES, ale ona dotyczy bardziej takich spraw, jak ubezpieczenie w danym kraju, czy jak



Europejskie Stowarzyszenie Pracowników Migracyjnych
ul. Polna 48/26
00-644 Warszawa
Tel. (+48 22) 87 58 63-0
Mobil: (+48 69) 4 63 98 79
>> www.emwu.org

Nie ma stoczni, jest problem

Zarząd zakładów Cegielskiego w Poznaniu rozmawia ze związkami zawodowymi o zwolnieniach. Poznańska fabryka ma zamówienie na ten rok, ale z kolejnymi – po zamknięciu stoczni w Szczecinie i Gdyni – mogą być problemy. Zarząd chce podpisać ze związkami porozumienie, dotyczące m.in. zwolnień grupowych. Pracę miałoby stracić do 20 proc. zatrudnionych w Cegielskim. Umowa obowiązywałaby przez trzy lata i w tym czasie pracownicy fabryki mieliby także zamrożone pensje.

Protest w obronie pracy

2 kwietnia blisko 500 pracowników spółki Telekomunikacja Kolejowa protestowało przed siedzibą spółki w Warszawie. Akcję zorganizowały związki zawodowe działające w TK. Związkowcy domagali się od zarządu spółki m.in. natychmiastowego odstąpienia od planu wyrzucania pracowników spółki z pracy i wstrzymania kroków zmierzających do likwidacji Zakładów Telekomunikacji. Tymczasem następnego dnia około tysiąc osób, głównie pracowników upadających Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego z Łap, piketowało przed Kancelarią Premiera, domagając się od rządu pomocy w ratowaniu firm remontujących dla państwowego przewoźnika PKP Cargo. Protestujący zamierzali wręczyć premierowi petycję, w której proszą szefa rządu o zainteresowanie się sprawami PKP, zwłaszcza PKP Cargo, jednak z kancelarii premiera nikt nie wyszedł do protestujących.

Zaciskali pasa i co z tego?

300 pracowników fabryki papieru należącej do Mondi Świecie SA, protestowało przeciwko obniżaniu wynagrodzeń w firmie. Zdaniem protestujących, zarząd firmy stara się obniżyć ich realne wynagrodzenia poprzez próby pozbawienia niektórych świadczeń socjalnych, gwarantowanych umową prywatyzacyjną i wyższe niż w innych zakładach koncernu normy wydajności. Protestujący podkreślają, że od chwili przejścia zakładu w Świeciu przez Mondi, wydajność produkcji w przeliczeniu na jednego pracownika podwoiła się. Jednocześnie działające w zakładzie związki zawodowe nie eskalowały żądań płacowych, co sprawiło, że świecki zakład ma jeden z najniższych wskaźników udziału kosztów personalnych w grupie Mondi.

Będzie strajk

Fiaskiem zakończyły się rozmowy „ostatniej szansy” pracowników z dyrekcją bielskiego ZOZ-u psychiatrycznego. Nie osiągnięto porozumienia w sprawie podwyżek. We wtorek po świętach w szpitalu rozpocznie się strajk.

Rokowania trwały prawie dwie godziny, jednak nie przyniosły efektu. Strony odeszły od stołu rozmów bez porozumienia. Związkowcy Inicjatywy Pracowniczej podkreślają, że dyrekcja nie przedstawiła im żadnej konkretnej oferty. Załoga jest w sporze zbiorowym z pracodawcą. Ich postulatem od ponad roku jest

Zniszczyć tych, co ratują

ciąg dalszy ze str. 1

scementowania współpracy pozostałych związków zawodowych działających w PRM. Podczas wspomnianego już II Zjazdu związku tej branży powołały wspólny Komitet Protestacyjny. Zapowiadają dalsze protesty, a także będą domagać się powołania Sejmowej Komisji Śledczej w sprawie wyjaśnienia nieprawidłowości przy prywatyzacji służby zdrowia.

Prace takiej Komisji mogą być ciekawe, tym bardziej, że procesie prywatyzacyjnym przewijają się nazwiska osób związanych z PO. Głównym bohaterem tu jest niejaki Lech Barycki, przewodniczący Regionalnego Sądu Koleżeńskiego struktur Platformy na Mazowszu. Barycki od 2005 r. był doradcą prezesa firmy Falck Medycyna. Falck ostatnio, jako podmiot prywatny, przejęło usługi przyszpitalnego pogotowia ratunkowego placówek publicznych. Przejęcia te wzbudziły wiele kontrowersji, gdyż zdaniem związkowców odbyły się z naruszeniem prawa i wymogów kontraktowych Narodowego Funduszu Zdrowia. Chodzi o to, że firma nie ma wystarczającej liczby pracowników etatowych i posiada braki w sprzęcie, którego wymaga się w specyfikacji NFZ. Falck jednak tam, gdzie chciał, powygrał kontrakty na świadczenie usług ratownictwa. Dziwne?

Wcale nie dziwne. Wystarczy trochę pogrzebać, by dowiedzieć się, że choć dziś pan Lech Barycki nie jest już doradcą prezesa firmy Falck, jego żona pracuje tam na intratnym stanowisku kierowniczym i zarządza wszystkimi oddziałami. Po szczyblach kariery Lech piął się błyskawicznie. W Falcku doradzał prezesowi i obsługiwał media. Znaleźliśmy nawet jakieś sprostowanie na stronie portalu Linia Otwocka, pod którym podpisuje się Barycki, pisząc m.in.: „Falck Medycyna bardzo dobrze współpracuje z samorządem terytorialnym”. Jak ujawnił Dziennik, Lech Barycki w 2006 r. pojawił się na Senackiej Komisji Zdrowia, która pracowała nad ustawą o ratownictwie medycznym. Pracował dla Falcka, ale wystąpił jako... przedstawiciel Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych. Gdy PO wygrała wybory parlamentarne, trafił do Ministerstwa Zdrowia kierowanego przez minister Ewę Kopacz. Dostał tam bardzo ważne stanowisko szefa gabinetu politycznego ministra. Głównym celem politycznym resortu zdrowia jest – prywatyzować szpitale i wszystko inne!

Nasz bohater z resortu zdrowia wyleciał w 2008 r. Oficjalnie jego szefowa Kopacz straciła ochotę do współpracy z nim. Jednak w polityce to, co oficjalne, rzadko bywa prawdziwe... Na bezrobociu nie był długo. Przecież zasłużonego wieloletniego działacza najpierw Unii Wolności, a teraz Platformy, nie można zostawić na pastwę losu. Zaczął więc kierować gabinetem politycznym ministra sportu, Mirosława Drzewieckiego. Zajmował się tam m.in. rządowymi boiskami typu „Orlik”.

Ale Lech Barycki jeżdżąc po Polsce i otwierając boiska dla dzieci i młodzieży wcale nie interesował się rozgrywanymi przez młodzików meczami. Nawet nie wiadomo, czy lubi sport i czy się na nim zna. Pokazuje to przykład ze Szczytna, a opisał go Dziennik. Barycki miał



lobbować u starosty szczytnickiego za firmą Falck! – Jestem z Platformy, od spraw politycznych, a nie merytorycznych. Macie tu nieciekawą sytuację w szpitalu – miał powiedzieć. A dalej podnosił głos na starostę, że źle zarządza szpitalem i że ma fatalnego dyrektora. Skąd takie emocje? „Dyrektor Marek Michniewicz ma własną przychodnię, która zapewnia obsadę karettek WOPR na mazurskich jeziorach. A o przejście wodnych karettek walczy warszawska spółka Falck. Samorządowcy twierdzą, że dla Falcka łakomym kąskiem byłoby też przejście zwyczajnych karettek, które ma miejscowy szpital” – wyjaśnia Dziennik. Na tym samym spotkaniu Barycki podszedł też do wojewody warmińsko-mazurskiego i zamiast o sportowe inwestycje pytał przedstawiciela rządu w terenie o to, ile placówek prowadzi Falck w tym województwie. Po kilku dniach w podobnej sprawie do Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie przyjechała prezes Falck Medycyna, Katarzyna Czajka. Chciała porozmawiać z wojewodą o interesach spółki w województwie.

Samorządowcy ze Szczytna o dziwnym zachowaniu Lecha Baryckiego poinformowali zaprzyjaźnionych parlamentarzystów z PO i PSL. W Sejmie o sprawie huczało, lecz nikt nie raczył powiadomić ani ministra sportu, ani CBA. Dlaczego? Ponoć poszła fama, że za Baryckim kręca się służby... Nikt nie chciał poskromić lobbyisty z Platformy Obywatelskiej, któremu bardziej, niż na sporcie, zależało na dobru najwyższym firmy Falck. Dobru polegającym, jak dziś wiemy – na przejmowaniu usług Państwowego Ratownictwa Medycznego i publicznych placówek ochrony zdrowia.

– Przy tak niejasnych okolicznościach zarówno politycznych, jak i prawnych, dotyczących wymogów NFZ, należy przyjrzeć się wszystkim przypadkom, w których firma Falck wygrała kontrakty na świadczenie usług w publicznych jednostkach – uważa dr Zbigniew Zdónek, który w Komisji Krajowej „Sierpnia 80” odpowiedział jest za ratownictwo medyczne. I właśnie, wiemy tylko o przypadku ze Szczytna, gdzie Barycki miał lobbować, by firma Falck przejęła WOPR-owskie karetki wodne, a nie mamy pewności,

czy takich nacisków nie było więcej, a samorządowcy boją się mówić...

To jednak nie koniec złych wiadomości. Jak już kilka razy pisaliśmy na łamach Kuriera Związkowego, obrona ratownictwa medycznego to także sprzeciw wobec zamykania szkół kształcących ratowników medycznych. Okazuje się tymczasem, że publiczne szkoły się zamyka, by ktoś mógł otworzyć prywatne tego typu. Prywatne, a więc płatne. Jeden zarobi, drugi zdobędzie wykształcenie. Ale co wtedy, gdy jeden zarobi, a drugi nic z tego nie ma? Tak było właśnie we Wrocławiu.

W październiku 2007 r. słuchacze wrocławskiego Policealnego Studium Medycznego Lifemed po dwóch semestrach nauki odkryli, że szkoła nie ma uprawnień szkoły publicznej, choć tak ją przedstawiał dyrektor. Oznaczało, że po zakończeniu nauki nie dostaną dyplomu lub świadectwa potwierdzającego kwalifikacje i uznawane w kraju. Nie będą więc mogli przystąpić do egzaminu państwowego, co oznacza, że nie będą mogli pracować jako ratownicy medyczni. Stracili czas i pieniądze. Kilkudziesięciu

rozgoryczonych słuchaczy złożyło na policji doniesienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez dyrektora. Okazało się, że dopuścił się on też fałszerstwa, wyrabiając bezprawnie państwową, okrągłą pieczęć z wizerunkiem orła.

Państwowe Ratownictwo Medyczne jest dziś pożywką dla polityków Platformy Obywatelskiej, na czele z ministrem zdrowia Ewą Kopacz, Jacka Szarka z „S”, prywatnych firm i niepublicznych pseudoszkół. Każdy kto tylko może, doi je jak tylko może. Doi, wyniszcza i grabi. Temat, choć niezwykle ważny, nie jest tak medialny, jak to, gdzie za młodu skakał Lech Wałęsa... W pewnym momencie okaże się jednak, że karetki masowo nie będą przyjeżdżać na czas do pacjentów z zagrożeniem życia. I najgorsze jest to, że konsekwencje tego spadną na najbardziej potrzebujących. Bo bogaci sobie poradzą. Oby kiedyś ci, którzy dziś demontują ratownictwo medyczne, sami oczekiwali na karetkę pogotowia i jej nie doczekali. Jak sprawiedliwość, to sprawiedliwość!

Patryk Kosela

Walczyć o swoje za granicą

ciąg dalszy ze str. 3

znaleźć mieszkanie. EURES nie posiada informacji branżowych, o układach zbiorowych, z kim się można w danym kraju skontaktować w swym własnym języku, jak wyglądają w poszczególnych krajach struktury związkowe.

Z tego co słyszę od Pani, cały projekt, jak i stowarzyszenie ograniczają się jednak do ściśle określonych branż – budownictwo, rolnictwo, drzewnictwo. A przecież to nie jedyne zawody, w których Polacy pracują za granicą

Tak, można powiedzieć, że to cały czas jest program pilotażowy. Związki właśnie z tych branż jako pierwsze dostrzegły wagę problemu. Trzeba też powiedzieć, że w wielkim przemyśle, związkach metalowców itd. nie ma w tej chwili aż tak dużej liczby migrantów.

Żywię nadzieję, że to będzie się rozwijać i z czasem zainteresują się tym

projektem również inne związki, dla których to, co robimy, będzie dobrym przykładem.

Miałaby Pani jakąś jedną podstawową radę dla wszystkich Polaków wyjeżdżających do pracy za granicę? Tak niezależnie od kraju, do którego wyjeżdżają.

Nigdy nie podpisywać niczego bez zaznajomienia się z tym, co się podpisuje. Nie podpisywać też niczego, co nie jest zgodne z prawdą. Często ludzie to jednak robią. Przykładowo są namawiani przez pracodawcę, by w razie kontroli zgodnie twierdzić, że pracują wyłącznie 8 godzin, co ma rzekomo służyć tylko oszukaniu tamtejszej inspekcji pracy. Pracownicy się na to godzą i kłamią w interesie pracodawcy. Kłamią, bo on im wmawia, że gdy prawda wyjdzie na jaw, on straci kontrakt, a oni pracę. Nie myślą w tym momencie o tym, że sami są oszukiwani. A później, kiedy pracodawca im nie zapłaci, np. za nadgodziny, dużo trudniej to udowodnić.

Specjalne strefy wyzysku zwalniają!

Skandal. Rząd przygotował nowelizację ustawy o Specjalnych Strefach Ekonomicznych (SSE), dzięki której każda z firm w niej działająca będzie mogła zwolnić do 40 procent swojej załogi. To nie tylko pogłębianie bezrobocia, przeczenie samej idei SSE, ale przede wszystkim kosztowna zmiana reguł w trakcie gry.

Rząd PO-PSL spieszy na ratunek kapitałowi. Zapłacą za to tysiące pracowników. Wszystko przez mityczny kryzys. Nowelizacja strefowej ustawy trafiła właśnie do Sejmu i ma być procedowana prawdopodobnie jeszcze w maju. Jeśli parlamentarzyści ją uchwalą, firmy działające w Specjalnych Strefach Ekonomicznych pozbyć się będą mogły prawie połowy załogi, bo aż 40 proc. zatrudnionych. Wcześniej było to niemożliwe, bo inwestorzy, podpisując z rządem umowę na działanie w strefie, czerpali olbrzymie przywileje z tego tytułu, w zamian deklarując zatrudnienie na danym poziomie. Oznaczało to całkowity brak zwolnień grupowych. W innym przypadku równałoby to się z koniecznością zwrotu publicznych pieniędzy.

Co ciekawe, zwolnić będzie mogła każda firma bez podania powodu. Nie ważne, czy firma działa w branży dotkniętej kryzysem i mało kogo obchodzi to, czy sama boryka się z kryzysowymi problemami. By wyrzucić za bramę pracowników, nie trzeba będzie ujawniać kondycji finanso-

wej. Pozostawia to otwarte drzwi do wprowadzania nowych oszczędności kosztem pracowników, na których to zagranicznym koncernom najprościej jest oszczędzać. Na ten moment zamiar zwolnień grupowych zgłosiła do Ministerstwa Gospodarki już co dwunasta firma działająca w SSE, czyli około 100 takich podmiotów gospodarczych.

W latach 2001–2005 pomoc publiczna dla inwestorów we wszystkich strefach w Polsce przekroczyła 350 mln zł. W zamian miały powstawać jak grzyby po deszczu nowe miejsca pracy. Dziś już wiadomo, że wizja ta się nie ziści. Pieniądze do kieszeni firm pompowane będą nadal, lecz nie pociąga to za sobą warunku zwiększania zatrudnienia, a wręcz przeciwnie – będzie je można zgodnie z rządową ustawą zmniejszyć. Jaki to interes? Dla pracowników żaden, dla kapitalistów intratny.

Fabryka znanego koncernu LG w Kobierzycach pod Wrocławiem, gdzie produkuje się monitory LCD, do 2012 r. miała zatrudniać łącznie 12 tysięcy osób, czyli jeszcze raz tyle, co obecnie. Prezent od polskich władz w postaci znowelizowanych przepisów nie tylko nie wymusi na koncernie spełnienia tego warunku, ale pozwoli zwolnić już pracujące osoby. Na samym Dolnym Śląsku we wszystkich Specjalnych Strefach Ekonomicznych planowana liczba miejsc pracy może się skurczyć o ok. 1400. Gdzie zwalniani mają znaleźć nową pracę? Mało kogo

to obchodzi. Dla członków rządu liczy się tylko dobro przedsiębiorców. To ich się ratuje, im daruje zobowiązania. Nikt jednak nie pomaga najuboższym, którzy co dnia borykają się z brakiem pieniędzy na życie.

Pomysł rządu nie podoba się nie tylko pracownikom, ale i niektórym polskim przedsiębiorcom. Wskazują, że ten rząd nie wyznaje polityki równych szans, skoro mimo intratnych zwolnień podatkowych odpuszcza zapisy umowy z – w głównej mierze zagranicznym – wielkim kapitałem.

SSE stracą rację bytu w 2020 r. Po tym czasie nie będzie już przywilejów względem przedsiębiorstw ze stref. Strefy powstawały z myślą, by przeciwdziałać bezrobociu poprzez tworzenie nowych miejsc pracy. Teraz rząd chce, by strefowicze tworzyli nowe rzesze bezrobotnych. Idea Specjalnych Stref Ekonomicznych ulega zatem ustawowemu zaprzeczeniu!

Swego czasu zainicjowaliśmy dyskusję na temat funkcjonowania SSE, nazywając je Specjalnymi Strefami Wyzysku. Wskazywaliśmy przykłady ukazujące, że wiele firm działających w strefach ekonomicznych, korzystających z ulg podatkowych, tworzy miejsca pracy, lecz warunki pracy są tam zatrważające. Wiele z tych informacji znalazło potwierdzenie w kontrolach Państwowej Inspekcji Pracy.

Opisaliśmy też sprawę wrocławskiego FagorMastercooka, który tylko

w samym 2005 r. dostał ponad 52 miliony złotych od polskiego rządu tylko za to, że działa w ramach Wałbrzyskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej „Invest Park”. Bezpośrednia dotacja z budżetu Skarbu Państwa wyniosła 3,5 mln zł i był to grant na tworzenie nowych miejsc pracy. Umowa mówiła tylko o miejscach, a nie wspominała o warunkach pracy. Te do najlepszych nie należały. Satisfakcji pracownicy nie mieli, ani pod względem finansowym, ani jeśli chodzi o prawa pracownicze. Na halach produkcyjnych zdarzały się przypadki omdleń z powodu upałów. W ostatnim czasie doszła kwestia szkanowania działaczy związkowych. Wszystko to przy równoczesnym korzystaniu, ile się da, z przywilejów, jakie dają SSE.

Pomysł rodem z księżycy, by pozwolić inwestorom ze stref ekonomicznych na zwalnianie pracowników całkowicie kompromituje instytucję stref. Rząd robi dobrze dla prywatnych przedsiębiorców z uwagi na kryzys, lecz zamiast przeciwdziałać jego skutkom, potęguje je. Żadnej korzyści nie ma w tym, że do urzędów pracy zgłaszać się będą całe rzesze wyrzucanych strefowiczów.

Ten rząd nie walczy z kryzysem, ale to kryzys pomaga walczyć mu ze społeczeństwem. Idzie jednak nowa Wiosna Ludów, idą nowe czasy i nowa rzeczywistość.

Patryk Kosela

Wielkopowierzchniowy wyzysk

Idą święta. Dla jednych to czas rodzinnej atmosfery i odpoczynku, a dla innych moment wytężonej pracy. Do tych drugich należą osoby zatrudnione w handlu. Pracować będą nie tylko dłużej, ale i ciężiej. W okresie okołoswiątecznym przez sklepy przewinie się nieporównywalnie więcej osób, niż w tak zwanych normalnych dniach roboczych.

Do super- i hipermarketów wielkie samochody ciężarowe zwozić będą całe masy towarów, które następnie trzeba będzie rozładować i przetransportować na sklepowe alejki. Pół biedy, gdy towar wiezie się elektrycznymi paleciakami. Dramat jest wtedy, gdy paleciak jest ręczny i ciężki towar, np. z napojami, ciągnąć trzeba za pomocą własnych sił. Później produkty trzeba wyłożyć na półki. Do sklepu wchodzi klient, wypełnia swój wózek zakupami po brzegi i biegnie do kasy. Tam kasjerka musi przerzucić kilka ton dziennie, uprzednio zahaczając o skaner na kody kreskowe.

Przed świętami pracownicy sieci handlowych pracują dłużej, nie rzadko w godzinach nadliczbowych. Nie dostają za to dodatkowego wynagrodzenia. Jeśli już, to w późniejszym terminie mogą wybrać sobie wolne. Oczywiście, pod warunkiem, że wcześniej ich nie zwolnią.

Warto jednak uzmysłowić sobie, że wcale nie trzeba świąt, by pracownicy



sklepów wielkopowierzchniowych mieli takie problemy. Na początku marca br. głośnym echem odbiła się sprawa z Biedronki w Elblągu, gdzie kierowniczka sklepu nie pozwoliła kasjerce opuścić stanowiska pracy w celu udania się do toalety. Ta nie wytrzymała i była zmuszona załatwić się w kasie. Sprawą zajęła się Państwowa Inspekcja Pracy, która zabezpieczyła nagranie z monitoringu i przesłuchała bezpośrednich świadków zdarzenia. Inspektorzy złożyli wniosek o ukaranie kierowniczki za niezapewnienie personelowi higienicznych warunków pracy. Badana też była kwestia mobbingu, lecz nie

została ona potwierdzona, bo nie stwierdzono działań umyślnych i długotrwałych. Jednocześnie poszkodowana kasjerka została przeproszona przez firmę, do której należy sieć tych dyskontów spożywczych. Zaproponowano jej też pracę w innym sklepie, aby nie czuła się dyskomfortowo.

Związkowcy podkreślają, że w pogoni za zyskiem duże sklepy oszczędzają na pracownikach, drastycznie redukując ich liczebność. Dziś dobrym wytłumaczeniem jest kryzys, ale powód zawsze się znajdzie. Konsekwencje są jednak oplakane. – W Tesco ludzie zostawiają wózki i koszyki przed kasami i idą do konkurencji,

gdzie jest czynnych więcej kas. Te są tu w większości zamknięte, bo masowo zwalnia się pracowników. Takich działań nie można nazwać oszczędnościami, a działaniem na szkodę firmy oraz pracowników i klientów – mówi Elżbieta Fornalczyk, przewodnicząca WZZ „Sierpień 80” w Tesco Polska.

Na szczęście warunki pracy i płacy w super- i hipermarketach z roku na rok poprawiają się. Dzieje się to szczególnie w tych sklepach, w których działają związki zawodowe. Po pamiętnym strajku w Tychach sprzed roku, do tamtejszego Tesco dostarczono nowe elektryczne paleciaki. Kilka miesięcy temu z kolei odbyły się wybory Społecznych Inspektorów Pracy, co pozwala reprezentantom pracowników mieć wpływ na zasady pracy i warunki BHP.

Droga do tego, by w sklepach wielkopowierzchniowych można było pracować normalnie, czyli sytuacji, w której nie łamie się praw pracowniczych, jest dla związków zawodowych jeszcze długa. Budowane w Polsce przez zagraniczne koncerny duże sklepy służą kumulacji zysku kosztem pracowników, a nawet klientów. Zysk i tak wędruje zagranicę.

Miejmy nadzieje, że zapowiedziane przez inspektorów pracy wzmożone przedświąteczne kontrole okażą się skuteczne. Pracownicy też przecież powinni świętować.

Ryszard Konieczko

podwyżka 400 zł netto dla każdego pracownika. Twierdzą, że wczoraj dyrekcja po raz kolejny nie odniosła się do ich żądań. Zostali tylko poinformowani o tym, co zostało już zrobione i o trudnej sytuacji zakładu pracy.

W tej sytuacji związkowcy z Inicjatywy Pracowniczej postanowili przystąpić do strajku, o czym poinformowali dyrekcję lecznicy. Strajk rozpocznie się 14 kwietnia br. i będzie początkowo polegał na oflagowaniu budynków i wywieszeniu bannerów. Na znak solidarności pracownicy włożą czarne koszulki. Jeżeli ta forma nacisku na pracodawcę nie przyniesie rezultatu, związkowcy zapowiadają zaostrzenie protestu.

Miliony na ulicach

Według włoskiego związku zawodowego Cgil, w sobotę 4 kwietnia w antyrządowych manifestacjach przeciw polityce „antykryzysowej” władz wzięło udział 2,7 miliona osób. Demonstranci przyjechali do Rzymu z całego kraju – wynajęto w tym celu 7 tys. autobusów, dziesiątki pociągów i dwa statki. Protestowano m.in. przeciw pogłębiającym się dysproporcjom w dochodach (z ostatnich badań wynika, że 1/3 Włochów zarabia rocznie poniżej 10 tys. euro, a jedynie 0,9 proc. – ponad 100 tys. euro) i masowym zwolnieniom w szkolnictwie (od września pracę straci 42 tys. nauczycieli).

Bezrobocie w Irlandii

Imigranci z nowych krajów członkowskich UE są największą grupą wśród bezrobotnych obcokrajowców w Irlandii – podał portal Irish Examiner, analizując najnowsze dane Irlandzkiego Urzędu Statystycznego (CSO) z rynku pracy. 43 559 imigrantów z nowych krajów UE było w marcu zarejestrowanych jako bezrobotni na ogólną liczbę 75 613 bezrobotnych obcokrajowców i 295 658 Irlandczyków. Imigranci z ośmiu państw przyjętych do UE po 1 maja 2004 r., w tym przede wszystkim Polacy, są najliczniejszą grupą bezrobotnych wśród ogółu obcokrajowców. Według portalu dynamika przyrostu bezrobocia jest wyższa w przypadku obcokrajowców niż Irlandczyków.

NATO STOP!

Ponad 35 tys. demonstrantów demonstrowało na ulicach Strasburga podczas odbywającego się tam szczytu NATO z okazji 60. rocznicy powołania do życia tej organizacji. Policja uniemożliwiła zebranie się demonstrantów z Francji i Niemiec w jednym miejscu poprzez zablokowanie mostu Europa łączącego niemiecki Kehl i francuski Strasburg. Z powodu użycia gazu łzawiącego przerwany został również koncert zorganizowany na początku demonstracji. W trakcie zamieszek, które wybuchły podczas protestu, spłonął posterunek graniczny oraz cały parter hotelu Ibis.

W protestach wzięli udział również przedstawiciele polskich organizacji, m.in. Inicjatywy „Stop Wojnie”, WZZ „Sierpień 80”, Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz Polskiej Partii Pracy.

DZ

Będzin, Gliwice

Bój o tramwaje

Radni Będzina, pod wodzą prezydenta Radosława Barana, spotkali się ze związkowcami „Sierpnia 80” i Związku Zawodowego Tramwajarzy podczas zorganizowanej 1 kwietnia nadzwyczajnej sesji rady miasta. Spotkanie rozpoczęła stworzona na zlecenie prezydenta Barana prezentacja, pełna statystyk i zdjęć pustych przystanków, na bieżąco komentowana przez radnych jako uzasadnienie cięcia linii tramwajowych. Radni cieszyli się tym, że jakoby wprowadzone przez nich cięcia nie obniżyły potoku pasażerów, doprowadzając do zwiększenia napelnienia linii tramwajowych i wzrostu ich rentowności. Propaganda sukcesu trwała dobrą godzinę, a prezydent Baran mówił, iż „zmiany optymalizacyjne się udały”, a na mankament powtórnego kasowania biletu przy przesiadce, prezydent doradzał zakup biletu miesięcznego czy kwartalnego. Wyłamujący się z szeregu LiD, głosem radnego Sławomira Brodzińskiego, wezwał radnych do rozpoczęcia rozmowy nad przywróceniem linii numer 27, by następnie popęnić gafę wzywając magistrat do wzięcia przykładu z odbywających się w Gliwicach „konsultacji społecznych” (prezydent Gliwic podczas „konsultacji” nie słucha społeczności lokalnej, będąc ślepo zapatrzonym



w konieczność likwidacji tamtejszych linii tramwajowych).

Następnie zaczęli przemawiać związkowcy – reprezentujący „Sierpień 80” Andrzej Szimke mówił o „zamglonej komunikacji” w magistrackich statystykach i zdjęciach; na potwierdzenie swoich słów przedstawił radnym zrobione przez związek zdjęcia przepelnionych przystanków z tego samego dnia, co fotografie „ludzi prezydenta”.

Następnie tłumaczył radnym, że to linie autobusowe dostosowuje się do tramwajowych, a nie odwrotnie, wytykając urzędnikom jednocześnie, że na skutek ich decyzji o cięciach linii oraz wbrew ich obietnicom doszło do pierwszych zwolnień motorniczych.

Radny Piotr Czerwiński opowiadał z kolei o częstych rozmowach, jakie prowadził z mieszkańcami na temat tramwajów, drwiąc cynicznie ze zdezorientowanych zmianami będzińian i oznajmiając, że... „tramwaj nie jest samolotem” (odnosząc się do telefonu mieszkańca skarżącego się, że nie ma miejsc siedzących). Przemówił również radny Lazar, dzieląc się opinią z zebranymi na temat zdjęć pustych przystanków – „mogły być manipulowane”, by następnie zadeklarować się jako przedstawiciel mieszkańców osiedla Zamkowe, którzy nie jeżdżą tramwajami i tłumacząc, że część pieniędzy z oszczędności komunikacyjnych „można przekazać na miejsca postojowe”, czyli budowę parkingów.

Sielankową atmosferę wśród radnych zburzył inny przemawiający przedstawiciel „Sierpnia 80” – Marcin Płaczek, który zrugął urzędników, opowiadając o dantejskich scenach z przystanków, matkach z wózkami i inwalidach nie mogących wejść do tramwaju. Przy pominięciu, że komunikacją tramwajową jeżdżą w znacznej mierze ludzie, których nie stać na własny samochód – w tym uczniowie, studenci i emeryci, w przeciwieństwie do radnych, którzy jeżdżą samochodami ze swoich domów na obrzeżach miasta. Pod koniec przemówienia zaapelował do radnych o przyjęcie uchwały dotyczącej przywrócenia zlikwidowanych połączeń tramwajowych, informując jednocześnie o inicjatywie zorganizowania referendum w celu odwołania prezydenta Barana.

Siłą argumentów uderzały słowa kolejnego przemawiającego związkowca, który mówił, by najlepiej „zamknąć szkoły, przedszkola, urzędy, bo one również nie przynoszą dochodów”.

a „prezydent miasta działa na szkodę Będzina”, bowiem „nieważne, że dzisiaj jadą w tramwaju dwie osoby, a jutro dwadzieścia, komunikacja musi istnieć”, wspominając o miastach w Polsce, które tworzą nowe linie tramwajowe, uznając je za najlepszy sposób zagospodarowania komunikacyjnego.

Dzień później podobne spotkanie odbyło się w sali sesyjnej Gliwickiego Urzędu Miasta, gdzie prezydent Gliwic – Zygmunt Frankiewicz prowadził hucznie zapowiadane konsultacje społeczne z mieszkańcami. Debatę rozpoczęło przemówienie prezydenta o nieopłacalności gliwickiej komunikacji tramwajowej i konieczności jej likwidacji. Głos mieszkańców nie został wysłuchany, a prezydent Frankiewicz – jak twierdzą obrońcy tramwajów – zorganizował zwykłą farsę, a nie „konsultacje społeczne”, ponieważ decyzję w tej sprawie podjął już dawno temu. Prezydent demagogicznie przedstawił list mieszkańców ulicy Wieczorka, skarżących się na tramwajowy hałas, jednak pełniąc aż trzy kadencje nigdy nie zainteresował się losem choćby mieszkańców szeregu ulic Gliwic, przez które przebiega tysiąckroć bardziej uciążliwy tranzyt TIR-ów.

Władze Będzina i Gliwic stanowczo odmawiają rozpisania referendum w sprawie komunikacji tramwajowej, starają się załatwić wszystko za plecami mieszkańców, szukają pozornych oszczędności, które zapewne automatycznie będą przeżarte przez magistrat. Jednocześnie naginają fakty, uprawiają antytramwajowy czarny PR i popisują się po prostu arogancją wobec mieszkańców i związkowców, tak jakby nie wierzyli w demokrację (nie mówiąc już o społeczeństwu obywatelskim), ale wyłącznie w siłę kliku, której są częścią. Nic o nas, bez nas – oby wreszcie zaczęła działać ta makSYM!a!

Robert Piąty

W najbliższym wydaniu tygodnika

TRYBUNA ROBOTNICZA

P o l e c a m y :

ŚWIAT

Jak Chavez walczy z kryzysem

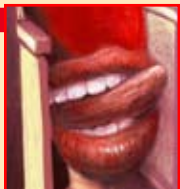
Podwyżka płacy minimalnej o 20 proc., miliardy na inwestycje publiczne, obniżenie zarobków wysokich urzędników



KRAJ

Sabat w Katowicach

W Katowicach odbędzie się Europejski Kongres Gospodarczy.



ŚWIAT

200 euro dla każdego

Zwycięski strajk generalny w karaibskich kolo- niach Francji.



KRYZYS

Historia zatoczyła koło

Jak rządy przedwojennej Polski walczyły z kryzysem? Tak samo jak dziś – nie walczyły!



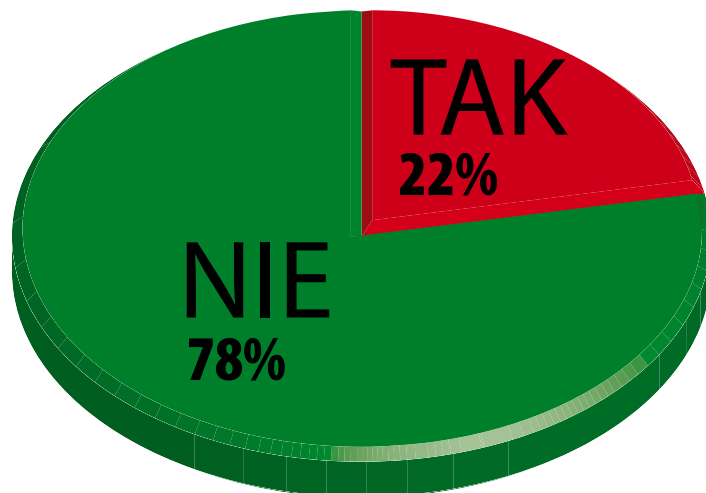
Chyba będziemy musieli znów zwiększyć nakład, bo wśród kolegów z „Solidarności” Kurier rozchodzi się jak świeże butki...

Restrukturyzacja przez likwidację

Hasło „restrukturyzacja przez likwidację” pojawiło się, gdy były premier AWS, a obecnie europoseł PO, Jerzy Buzek reformował górnictwo. Realizując nie nasze interesy bezpowrotnie zlikwidowano sto tysięcy miejsc pracy. Teraz ten sam scenariusz dotyka polskie rybołówstwo.

JAKUB PUCHAN

Czy zredukowanie o 40 % floty rybackiej pozwoliło na dostosowanie jej do istniejących zasobów ryb?



Opinie rybaków o skuteczności realizacji programu redukcji floty rybackiej. Za publikacją „Ocena skuteczności realizacji programu redukcji floty rybackiej”.

Oficjalnym powodem likwidacji polskich jednostek jest dostosowanie wielkości polskiej floty rybackiej do istniejących zasobów ryb. Na pierwszy rzut oka ma to swoją logikę, tyle że plany dostosowania oparto na ocenie zasobów ryb mocno i specjalnie zaniżonych. Dzisiaj trwa już tylko spór, czy zasoby zostały zaniżone o 100, czy nawet o 800 proc. Jednak zaniżona ocena zasobów nadal pozostaje podstawą planów kasacji floty.

W latach 2004–2006 kasacji uległo blisko 40 proc. polskich jednostek. Taka bezpowrotna likwidacja tysięcy miejsc pracy powinna skłonić urzędników do refleksji i odpowiedzi na pytanie, czy osiągnięto w ten sposób główny cel programu SPO – dostosowanie wielkości polskiej floty rybackiej do istniejących zasobów ryb? Odpowiedź środowiska rybackiego wydaje się jednoznaczna. Według badań socjologia Bogusław Marciniaka, który zajął się tym zjawiskiem od strony społecznej, rybacy uznają program za drogę prowadzącą do katastrofy.

Ponad trzy czwarte rybaków biorących udział w badaniach Bogusława Marciniaka jest zdania, że zakładanych celów nie zrealizowano. Zdaniem środowiska, potwierdzają to fakty wprowadzania w życie coraz to nowych ograniczeń w połowach. Jednostka rybacka o długości kadłuba 17 metrów (taką wielkość ma większość polskich kutrów), na której bezpośrednio pracuje pięcioosobowa załoga, według bardzo ostrożnych szacunków daje zatrudnienie tak naprawdę 50 osobom w przetwórcach ryb, transporcie, sieciarniach... Nie trzeba więc być geniuszem, by stwierdzić, że likwidacja takiej liczby kutrów – i co za tym idzie ich załóg – niesie za sobą ogromne skutki społeczne i to nie tylko w miejscowościach nadmorskich. Potwierdzają to wspomniane już badania. Rybacy podkreślali, że program ten, a zwłaszcza formy jego realizacji spowodował również ogromne szkody społeczne, takie jak zwiększenie bezrobocia w gminach nadmorskich, utratę przez pozbawionych pracy rybaków pozycji społecznej i prestiżu społecznego oraz poczucie bezsilności w konfrontacji z aparatem administracji państwowej.

Potwierdzają to również samorządowcy gmin nadmorskich, szczególnie tych, gdzie większość jednostek stanowią łodzie, a nie kutry. Niszczenie rybołówstwa łodziowego jest tym

bardziej niezrozumiałe, że zdolności połowowe tego rodzaju rybołówstwa są tak małe, że nie mogą one znacząco wpływać na stałe obniżanie się zasobów ryb w rejonie Morza Bałtyckiego. Kutry i łodzie rybackie gwarantowały jednak miejsca pracy dla dość sporej liczby mieszkańców miejscowości nadmorskich, zwłaszcza dla tych, którzy nie mieli żadnego przygotowania zawodowego do wykonywania innej pracy. Samorządowcy jednoznacznie potwierdzają, że zmniejszenie liczby kutrów i łodzi znacznie zmniejszyło liczbę miejsc pracy na terenie gmin, a także wpłynęło na zmniejszenie dochodów lokalnych samorządów i wielu firm, które obsługują rybołówstwo przybrzeżne, mając swoje siedziby na terenie gminy. Oczywiście, nikt nie pomyślał o przeznaczeniu nawet grosza na choćby złagodzenie tych skutków.

Socjologowie podkreślają specjalne znaczenie kulturowe rybołówstwa przybrzeżnego. Rybołówstwo takie było w miejscowościach nadmorskich nie tylko miejscem pracy dla sporej grupy mieszkańców, ale stanowiło również rdzeń lokalnej kultury, wyznaczając obyczaje i normy społeczne, kształtując hierarchię prestiżu społecznego i organizując życie społeczne mieszkańców. Urzędników z Warszawy rozsypanie się struktury społeczeństwa i negatywne skutki tego zjawiska nie obchodzą zbyt wiele. Oni wypoczywają raczej nad Morzem Czerwonym i to tam ma być miło...

Jeśli już mówimy o wycieczkach i turystyce, kasacja floty wpłynęła i na te branże, jak zgodnie twierdzą specjaliści od tej gałęzi gospodarki. Dla wielu turystów rybołówstwo przybrzeżne stanowiło główną atrakcję turystyczną miejscowości nadmorskich. Zanik rybołówstwa, zwłaszcza łodziowego, z całą pewnością znacząco wpłynęło na zmniejszenie atrakcyjności tych miejscowości i w rezultacie spowoduje spadek liczby turystów i przynoszonych przez nich gminie dochodów.

Tym również nie przejmują się urzędnicy wyższego szczebla. Spadną dochody budżetu, to obetnie się jakieś świadczenia dla samotnych matek, a na ich pensje wystarczy – w końcu nie od dziś wiadomo, że „rząd się sam wyżywi”.

Taka krytyka programu kasacji polskiej floty przez ludzi zmagających się z tym problemem na co dzień, powinna spowodować postawienie następującego pytania: Czy możliwym jest podjęcie innego typu działań pozwalających na skuteczną ochronę zasobów ryb i nie redukowanie w sposób znaczący wielkości floty rybackiej i liczby rybaków w niej zatrudnionych?

Dla urzędników w Brukseli odpowiedź jest dość jasna: „Tak!, jest to możliwe”, ale... w krajach „Starej Unii”, bo w Polsce miejsca pracy mają być zlikwidowane. Polscy urzędnicy chcą mieć spokój, więc ich mózgi nie są skażone choćby myślą o tym

problemie. Jak działa ten mechanizm, pokazuje przykład Szwecji, gdzie redukcja floty skończyła się tym, że po przeprowadzonej redukcji Szwedzi posiadają jedną jednostkę więcej niż przed redukcją. Owszem, skasowano wiele starych jednostek, ale w ich miejsce pojawiły się nowocześniejsze i o większej mocy silników, a co za tym idzie o większej zdolności połowowej. Szwedzka administracja po prostu dostosowała flotę do zasobów, ale tych rzeczywistych, a nie papierkowych.

Szwedzi są mądrzy i skasowali stare jednostki – u nas jest odwrotnie. Co prawda teoretycznie kasacja jest dobrowolna, choć rząd już wie, jakie jednostki zostaną skasowane w następnych latach, mimo iż nikt nie złożył jeszcze takiego wniosku.

Dwie trzecie proc. rybaków biorących udział w badaniach Bogusława Marciniaka określiło kryteria selekcji jednostek rybackich przeznaczonych do wycofania z rybołówstwa jako „złe”. Pomijając fakt, że kryteria selekcji zostały ustalone odgórnie, prawie bez jakiegokolwiek konsultacji z rybakami, a ogół rybaków nie miał na nie żadnego wpływu, to skandalem było proponowanie tym lepszej ceny, im jednostka była... młodsza wiekiem. W rezultacie takiej selekcji zniszczeniu uległy jednostki rybackie, które można było przeznaczyć do innych celów i które mogły być jeszcze eksploatowane przez wiele lat. Dodatkowo rząd uruchomił mechanizm zachęcający do kasacji nowoczesnych jednostek. Skompletowanie dokumentów potrzebnych do wycofania z rybołówstwa starej jednostki było o wiele trudniejsze niż dla nowej. Dziwnym trafem na tych jednostkach w okresie kasacji zintensyfikowano kontrolę. Nic dziwnego, że taki dobór jednostek do kasacji wywołał ogromne niezadowolenie wśród mieszkańców miejscowości nadmorskich, określających wprost niszczenie takich jednostek mianem bezprzykładnego marnotrawstwa majątku narodowego.

Potwierdzają to wypowiedzi samych rybaków (cytaty pochodzą z badań Marciniaka):

Rybak łodziowy, wiek 40–49 lat, staż pracy 6–20 lat:

„Jako skandal można nazwać promowanie kasacji prawie nowych i całkowicie zdalnych do wieloletniej

jeszcze eksploatacji jednostek. Jest to po prostu przestępstwo czynione przez biurokratów z Unii Europejskiej i ubezpieczone przez polski rząd. Jeśli za kryterium przyjmujemy wiek jednostki, to powinny zostać zlikwidowane łodzie stare, rozwalające się, a nie jak to się dzieje obecnie, prawie nowe i gotowe do wieloletniej jeszcze eksploatacji”.

Rybak kutrowy, wiek 40–49 lat, staż pracy 21 lat i więcej:

„Ogólne zasady programu są dobre, ale efekt finalny wręcz opłakany. Skasowano jednostki, które nie są najstarsze. Wręcz odwrotnie, skasowano te najmłodsze z reguły dobrze wyposażone i o większej niż pozostałe sprawności łowczej”.

Rybak kutrowy, wiek 30–39 lat, staż pracy 6–20 lat, wiek złomowanej jednostki 10–15 lat:

„Kuter był znacznie więcej wart, aniżeli za niego dostałem. Posiadał stalowy kadłub i silnik będący w bardzo dobrym stanie. Posiadał także nowy radar i urządzenie umożliwiające elektroniczne sterowanie. Była to perła naszej rodziny. Cięcie na złom takiego kutra było dla mnie katastrofą. Musiałem to zrobić, aby spłacić długi zaciągnięte na uprawianie rybołówstwa. Jednostka mogła jeszcze pływać parę dziesiątków lat. W głowie się nie mieściło, że taka jednostka idzie na złomowanie. Ludzie mówili, że powinienem się wstydić, iż złomuję taką jednostkę. Nie wiedzieli jednak nic o moich długach. Ja jednak uważam, że to państwo powinno się wstydić, że musimy tak dziać i że nie możemy się utrzymać z pracy w rybołówstwie. Do dziś staję mi przed oczami to, co zrobiono z naszą jednostką. Było to tak, jakby amputowano część mego ciała.”

(Żona respondenta rozplakała się, gdy jej mąż opowiadał o cięciu palnikami ich jednostki. Mówiła przy tym, że niszcząc jednostkę niszczone wszystko to, co całymi latami wypracowali i co stanowiło treść ich życia).

Czy tymi ocenami się ktoś przejął? Oczywiście nie. Rząd koalicji PO-PSL z nieukrywaniem entuzjazmem przystąpił do dalszej likwidacji polskiej floty. Mało tego, niewykorzystane środki unijne z lat 2004–2006 przeznaczył również na likwidację floty, choć w rybołówstwie są większe i pilniejsze potrzeby. ●

Klasa długości	2004			2005			2006			2006/2004		
	statki	GT	wiek	statki	GT	wiek	statki	GT	wiek	statki	GT	wiek
Łodzie <12m	788	3 725	20,8	671	3 135	21,6	607	2 875	22,1	-23%	-23%	6%
Łodzie 12–15 m	57	1 269	23,7	52	1 152	23,6	50	1 096	24,0	-12%	-14%	1%
Kutry 16–18 m	165	5 923	45,2	112	4 057	45,9	95	3 409	47,3	-42%	-42%	5%
Kutry 19–20 m	32	1 493	40,4	23	1 110	41,1	24	1 161	42,1	-25%	-22%	4%
Kutry 21–23 m	31	2 340	23,7	16	1 188	23,7	15	1 147	24,3	-52%	-51%	2%
Kutry 24–25 m	82	7 873	34,0	31	2 971	34,6	25	2 403	34,9	-70%	-69%	3%
Kutry 25 m	45	6 205	25,5	30	4 187	26,6	28	3 821	27,8	-38%	-38%	9%
Kutry 26 m i większe	43	7 179	26,0	37	6 335	26,6	33	5 702	26,3	-23%	-21%	1%
Razem	1243	36 007	26,0	972	24 135	25,8	877	21 615	26,2	-29%	-40%	1%

Źródło: Opracowanie Emila Kuzebskiego na podstawie danych Rejestru Statków Rybackich.

Sposób na kryzys

Chcą zamknąć zakład? Okupuj!

Zwalniani pracownicy brytyjskich fabryk części samochodowych Visteon okupują od kilku dni zakłady. Protest rozpoczęto po ogłoszeniu przez firmę decyzji o zwolnieniu 565 osób w zakładach w Wielkiej Brytanii. Większość osób wezwano do kadr i zwolniono ze skutkiem natychmiastowym, nie dano im nawet czasu na zabranie swoich rzeczy z miejsca pracy i nie wypłacono należnych odpraw.

Visteon to firma-córka założona przez koncern Ford, by ominąć ustawy podatkowe i unikać wywiązywania się z prawnych zobowiązań wobec pracowników. Firma zatrudniała na terenie Wielkiej Brytanii 600 osób. Zarząd firmy utrzymuje, że jest zmuszony zamknąć fabryki w Belfaście, Basildon i Enfield.

Według związku Unite, pracownicy w Belfaście zostali potraktowani skandalicznie i nie pozostało im nic innego jak zajęcie fabryki, by ocalić miejsca pracy dla mieszkańców miasta. Okupacje zakładów rozpoczęto także w Enfield i Basildon. Protestujący domagają się pełnej wypłaty zaległych i należnych jako odprawy wynagrodzeń



oraz traktowania na takich samych warunkach, jakie otrzymują inni pracownicy Forda.

Poparcie

Komisja Krajowa Wolnego Związku Zawodowego „Sierpień 80” wyraża swoje poparcie dla protestu pracowników firmy Visteon w Belfaście, Basildon i Enfield oraz okupacji zakładów.

Niedopuszczalne traktowanie pracowników przez przedsiębiorstwa Visteon Wielka Brytania i Ford Motor Company jest kolejnym przykładem tego, jak wiel-

ki biznes karze zwykłych pracowników za kryzys gospodarczy, za który nie ponoszą żadnej winy. Wina za kryzys w przemyśle motoryzacyjnym spoczywa całkowicie na barkach bankierów, spekulantów finansowych i systemu kapitalistycznego, dzięki któremu wzbogacili się ludzie tacy, jak szefostwo Forda. To nie pracownicy powinni ponosić koszty w postaci utraty pracy lub obniżenia płacy. Tymi, którzy zasługują na zwolnienie, są szefowie Visteonu i Forda – za to, że doprowadzili zakłady do ruiny.

Rząd brytyjski wydaje miliardy z kieszeni zwykłych ludzi, by ratować bankierów. Jeżeli w porządku jest nacjonalizacja banków w celu udzielenia pomocy finansistom i bankierom, to rząd powinien wkroczyć i ratować zakłady, którym grozi upadłość, uczynić je własnością publiczną, zarządzaną demokratycznie przez samych pracowników i przedstawicieli wybranych spośród klasy pracującej. Jeżeli rząd potrafi bardzo szybko udzielać wsparcia prywatnym spółkom, to teraz powinien wykazać się takim samym pośpiechem i podjąć natychmiastowe działania, by ratować miejsca pracy w Visteonie i zagwarantować, że

fabryka stanie się przedsiębiorstwem, które zarządzane będzie przez robotników, aby zapewnić potrzebną liczbę miejsc pracy.

W Polsce rząd Donalda Tuska również nie robi nic, by pomoc upadającym zakładom i uratować tysiące miejsc pracy. Stara się jedynie przerzucić koszty kryzysu na pracowników, niszcząc prawa pracownicze w interesie prywatnego kapitału. Nie wyrażamy na to zgody i mówimy: nie będziemy płacić za wasz

kryzys! Jedynym sposobem, by obronić miejsca pracy, jest zdecydowana walka samych robotników oraz międzynarodowa solidarność ludzi pracy.

Nasze „Sierpnia 80” poparcie macie. Nasi związkowcy z kopalń, hut, fabryk oraz wszystkich innych zakładów popierają Wasz protest w obronie miejsc pracy.

Bogusław Ziętek
Przewodniczący
WZZ „Sierpień 80”

Jak założyć **Sierpień 80**

1. Zbierz grupę przynajmniej 10 osób i skontaktuj się telefonicznie z biurem Komisji Krajowej, tel. (32) 253 70 99, (32) 253 06 41 lub (32) 253 06 42. fax (32) 206 84 30.
2. W biurze Komisji Krajowej lub na internetowej stronie www.wzz.org.pl znajdziesz uchwałę i wniosek o rejestrację.
3. Z wypełnionymi i podpisanymi drukami przyjedź do biura Komisji Krajowej w Katowicach, ul. Warszawska 19. Rejestrację można otrzymać w tym samym dniu.
4. W każdej sprawie pracowniczej lub dotyczącej założenia związku, możesz napisać na maila: bzietek@wzz.org.pl

Nie będziemy płacić za wasz kryzys!



PPP
OLSKA ARTIA RACY